



Ulica koło świątyni Wat Traimit

Tajlandia i Kambodża

24.01.2016 (niedziela)

Jedziemy z Basią taksówką na lotnisko Okęcie. Tu odprawiamy się i idziemy do saloniku senatorskiego. Spotykamy tam m.in. byłego wicepremiera i głównego autora reformy gospodarczej wyprowadzającej Polskę z komunizmu Leszka Balcerowicza. Rozmawiamy z nim przez chwilę (Basia i ja znaliśmy go już wcześniej). Niedługo później dołączają do nas Grażynka i Piotr Soszyńscy z Poznania. Razem wsiadamy do lotowskiego *Dreamlinera* Boeinga 787 i ok. 16:20 startujemy w kierunku Bangkoku. Lot trwa około 9 godzin. Z Basią mamy całkiem wygodnie

ponieważ wykupiliśmy klasę „Premium”, czyli coś pośredniego między biznesem i klasą ekonomiczną. Oglądam dwa filmy: „Praktykanta” z piękną Anne Hathaway w jednej z głównych ról oraz pierwszy kawałek siódmej części „Harrego Pottera”. Oba filmy są na swój sposób rozbawiające – „Praktykant” jest trochę nudnawy i rozwlekły; to samo zresztą dotyczy „Harrego Pottera”, ale ten pierwszy jest przynajmniej dużo lżejszy.

25.01.2016 (poniedziałek)

Na lotnisku w Bangkoku lądujemy wcześniej rano. Kontrola paszportowa przebiega całkiem sprawnie. Odbieramy bagaże i wychodzimy do hali przylotów lotniska szukając kogoś z biura podróży *Rainbow Tours* lub ich kontrahenta *S.I. Tours*, tak jak to napisano w informacji, którą dostaliśmy przed wylotem. Z nami błąkają się inne osoby z naszego samolotu. W końcu zjawia się ktoś, kto poleca nam zjechać ruchomymi schodami na niższą kondygnację, gdzie w końcu znajdujemy przedstawicielki biura *Rainbow Tours*. Wsiadamy do podstawionego dla nas autobusu i około 9:00 ruszamy w stronę miasta. Nasza pilotka Dagmara Szczepaniuk przedstawia plan dnia i przy okazji mówi trochę o Tajlandii, zwracając uwagę na tutejsze zwyczaje, a także zapoznaje nas z podstawowymi zwrotami w języku tajskim.

Zgodnie z planem wycieczki, który dostaliśmy w chwili jej wykupywania, mieliśmy pojechać do hotelu, by tam odpocząć. Pierwszą imprezą miała być kolacja. Planowaliśmy z Basią, że w ciągu dnia pokrążymy sobie trochę po mieście. Ale w autobusie okazało się, że plany są inne – hotel będzie dostępny dopiero od 14:00, a wcześniej będziemy zwiedzać Świątynię Złotego Buddy. Basia i ja jesteśmy w niezłej sytuacji, ponieważ lecąc w klasie „Premium” mogliśmy nieco pospać – gorzej mają ci co lecieli klasą ekonomiczną.

Główną atrakcją świątyni Złotego Buddy czyli *Wat Traimit* jest pochodzący z XIII wieku posąg Buddy wykonany w całości ze złota, ważący 5,5 tony i wysoki na ponad trzy metry. To największy tego typu posąg na świecie. Sama świątynia, chociaż efektownie wywyższona ponad poziom otaczającego terenu, nie jest przesadnie interesująca, przynajmniej dla osób, które już podobne buddyjskie świątynie widzieli.



Posąg Złotego Buddy w świątyni Wat Traimit



Kuchnia naszej restauracyjki

Po zwiedzeniu świątyni jedziemy do naszego hotelu „Grand China Hotel”, który podobnie jak zwiedzana przed chwilą świątynia, znajduje się w chińskiej dzielnicy Bangkoku. Tu mamy spotkanie organizacyjne, w czasie którego małe spięcie między paroma uczestnikami wycieczki a pilotką. Generalnie nie podoba mi się sposób wyrażania pretensji wobec bogu ducha winnej przedstawicielki Rainbowa, ale napięcie byłoby mniejsze, gdyby biuro podróży nie sugerowało w opisie wycieczki, że po przylocie od razu zostaniemy ulokowani w hotelu.

Ponieważ pokoje nie są jeszcze gotowe, wychodzimy z Grażynką i Piotrem na zewnątrz i spacerujemy po malowniczych uliczkach dzielnicy. Zaglądamy do niewielkiej buddyjskiej świątyni *Wat Bamphen Chin Phrot*. Należy do odłamu buddyzmu *Mahajana*. Celem jego wyznawców jest osiągnięcie *Doskonałego Oświecenia* przez praktykę sześciu transcendentnych cnót, które obejmują: szczodrość, etyczne postępowanie, cierpliwość, radosny wysiłek, medytacyjne skupienie i mądrość. Wchodzimy następnie w wąską, przykrytą blaszanym dachem i zagraconą uliczkę pełną miniaturowych i mocno siermiężnych restauracyjek. Z językową pomocą dwóch

młodych Tajek zamawiamy zupę z morskich wodorostów z maleńkimi pulpetami, jakieś warzywa i ryż z kawałkami kurczaka. Wszystko to okazuje się być nadzwyczaj smaczne.

Wracamy do hotelu. Dostajemy klucze do pokoju 1809. Z okna roztacza się imponujący widok na miasto. Myjemy się i ucinamy sobie krótką drzemkę. O 18:00 wspólna kolacja w hotelowej restauracji na 10. piętrze. Bardzo mi smakują tutejsze potrawy, jakkolwiek są znacznie łagodniejsze niż się spodziewałem.

W czwórkę jedziemy do obrotowego baru na najwyższym, 25. piętrze hotelu, skąd oglądamy wieczorną panoramę Bangkoku. Zjeżdżamy na dół i robimy sobie spacer po okolicy. Chińska dzielnica jest szczególnie malownicza nocą. Zachodzimy do Tesco, gdzie kupujemy piwo i Coca-Colę, które wspólnie wypijamy w naszym pokoju. Przy okazji rozmawiamy na najróżniejsze tematy.

26.02.2016 (wtorek)

O 6:30 pobudka. Za oknem piękny wschód słońca. Myjemy się, jemy smaczne i pełne owoców śniadanie, a już o 8:00 ruszamy autobusem na zwiedzanie miasta. Nasza pilotka, pewnie pod wpływem wczorajszych spieć, wygłasza dosyć zdecydowaną przemowę, której główne stwierdzenie brzmi: „jestem po to by się opiekować, a nie po to by służyć”.



Grażynka i Basia



Panorama z naszego hotelowego okna

Po wyjściu z autobusu przechodzimy przez *Targ kwiatowy*, a następnie wielki *Targ warzywny* i wchodzimy na teren świątyni *Wat Pho* czyli *Świątyni Leżącego Buddy*. Jest to jedna z największych i najstarszych świątyń buddyjskich w Bangkoku. Jakkolwiek jej korzenie sięgają XVI wieku, w jej dzisiejszym kształcie powstała pod koniec wieku XVIII, a w latach późniejszych była rozbudowywana. Popularna nazwa pochodzi od imponującego posągu odpoczywającego Buddy, o długości aż 46 metrów. Ale na terenie świątyni jest też ponad tysiąc innych posągów Buddy, zwiezionych tu z całego kraju. Cały kompleks jest ogromny i biegamy z Basią dosłownie z wywieszonymi językami by obejrzeć jak najwięcej w mocno ograniczonym czasie. W pawilonie z leżącym Buddą za 20



Buddyjski mnich na Targu kwiatowym



Świątynia Wat Pho

bahtów bierzemy naczynko z drobnymi monetami. Wrzucamy je do stojących wzdłuż ściany naczyń z brązu, wypowiadając przy tym w myśli życzenia – podobno mają się spełnić ☺.

Wchodzimy także do innych budynków, w tym najważniejszego religijnie *Phra Ubosot*, także z miedziano-złotym posągiem Buddy siedzącym na imponującym cokole. Wrażenie robią też cztery falliczne wieże *Phra Prang*, stojące na jednym z pięknych dziedzińców. Na terenie świątyni jest wiele imponujących i misternie zdobionych ceramiką stup (*chedi*), z których cztery służą jako grobowce pierwszych królów z obecnie panującej dynastii Chakri (od Ramy I do IV).

Świątynię uważa się za miejsce narodzin słynnego tajskiego masażu; dotąd istnieje tu jego szkoła, a także szkoła tradycyjnej, tajskiej medycyny.



Leżący Budda w świątyni Wat Pho



Stupy (*chedi*) w świątyni Wat Pho

Ze świątyni idziemy całą grupą do nieodległego Wielkiego Pałacu Królewskiego (*Phra Borom Maha Ratcha Wang*). Na jego terenie znajduje się największa w Tajlandii świątynia *Wat Phra Kaeo*, czyli *Świątynia Szmaragdowego Buddy* wybudowana w 1782 roku. W jednym z budynków tej świątyni znajduje się niewielka jadeitowa (kiedyś sądzono, że to szmaragd) rzeźba siedzącego Buddy pochodząca zapewne z XIV wieku i posadowiona na wielkim, ozdobnym postumencie. Według niektórych legend rzeźba jest znacznie starsza. We wnętrzu kryjącym największą świętość buddystów Tajlandii nie wolno fotografować.

Cała świątynia pełna jest ozdobnych detali, mitycznych stworów i strzegących bram gigantów. Niestety jest też szczelnie wypełniona tłumami turystów. Mamy szczęście, bo jak na tę



Na terenie świątyni Wat Phra Kaeo

porę roku jest wyjątkowo chłodno i temperatura nie przekracza trzydziestu stopni (wcześniejsze prognozy mówiły nie tylko o upałach, ale także o intensywnym deszczu).

Chodzimy również po terenach pałacowych, poza samą świątynią, zaglądając m.in. do Sali tronowej z imponującym tronem w kształcie łodzi, a także do ekspozycji broni białej i palnej z ostatnich dwóch wieków. Pałac był oficjalną siedzibą królów Tajlandii (Syjamu)

od końca XVIII wieku aż do tajemniczej śmierci od kuli młodego Ramy VIII (brata obecnie panującego Ramy IX) w 1945 roku. Później budynki wykorzystywano okazjonalnie, podczas oficjalnych uroczystości czy wizyt ważnych osób, jak papieża Jana Pawła II, brytyjskiej królowej Elżbiety II czy amerykańskiego prezydenta Billa Clintona.



Stwory (*garudy*) na głównym budynku świątyni Wat Phra Kaeo



Gigant na terenie świątyni Wat Phra Kaeo



Mityczne stwory na terenie świątyni Wat Phra Kaeo



Klongi w Bangkoku

Po zwiedzaniu pałacu jedziemy nad rzekę Chao Phraya i w restauracji na cumującej przy brzegu wielkiej barce jemy smaczny lunch. Szczególnie smakuje nam znakomita zupa rybna. Z barki przechodzimy na motorową łódź, którą odbywamy podróż po kanałach (*klongach*), które niegdyś stanowiły główne arterie komunikacyjne miasta. Wiele z nich zasypano przekształcając je w wiecznie zakorkowane samochodami ulice. Przy brzegach kanałów oryginalne domy, sporo bardzo skromnych, a nawet rozsypujących się, ale są i eleganckie wille z pięknymi ogrodami. Od czasu do czasu widać wygrzewające się nad wodą ogromne jaszczury – warany. Nasza łódź zatrzymuje się na chwilę. Obsługa rozdaje chleb, który wrzucamy do wody. Błyskawicznie pojawia się stado pang, które walczy

o wrzucane im pożywienie. Wpływamy ponownie na Chao Phraya, przepływamy koło pałacu królewskiego, który zwiedzaliśmy przed południem i w końcu dobijamy do przystani. Grupa rozchodzi się. Basia i Grażynka postanawiają pójść na tajski masaż, a my z Piotrem zdążamy przez ruchliwą chińską dzielnicę do hotelu.

O 17:00 wyjeżdżamy z Basią z hotelu na kolację i widowisko „Siam Niramit”. Podróż autobusem w zakorkowanej autostradzie zajmuje ponad godzinę. Najpierw kolacja w ogromnej restauracji, a po niej chodzimy po replce tajskiej wioski, próbując przy okazji miejscowych smakołyków. Oglądamy także tradycyjne tańce tajskie i khmerskie na otwartym powietrzu. Dla chętnych oferowana jest przejażdżka na słoniu.



Uliczna kuchnia w chińskiej dzielnicy



Tajskie tancerki

Przed 20:00 wchodzimy do wielkiej, mieszczącej dwa tysiące widzów hali, gdzie po chwili rozpoczyna się efektowne widowisko. Przed wejściem wszyscy muszą oddać do przechowalni aparaty fotograficzne, co nie jest złym pomysłem, ponieważ chroni widzów przed „oszałałymi” fotografami, którzy zasłaniają sobą scenę, a także psują nastrój błyskaniem fleszy. Pierwszy punkt to wysłuchany na stojąco hymn królewski ilustrowany wyświetleniem krótkiego, dokumentalnego filmu o królu Tajlandii. Wysłuchujemy także tekstu na temat goszczącego nas kraju. Na wielkiej scenie zmieniają się dekoracje; jest nawet spore jeziorko, po którym pływają normalnych rozmiarów łodzie. Po scenie biegają prawdziwe kozy, a w przejściu widowni, w trakcie spektaklu, maszerują słonie. Widowisko ma kilka części, poświęconych m.in. historii Tajlandii, tradycyjnym zajęciom, miejscowym legendom i baśniom, a także lokalnym festiwalom. Całość zrobiona z ogromnym rozmachem i bardzo profesjonalnie. Mimo że widowisko ociera się o kicz, ma swój niepowtarzalny urok. Droga powrotna do hotelu przebiega sprawniej, bo na trasie nie ma już korków.



Transport naszych walizek na granicy tajlandzko-kambodżańskiej

27.01.2016 (środa)

Dziś pobudka także o 6:00. Wystawiamy przed pokoje walizki, jemy śniadanie, a o 7:30 ruszamy autobusem w stronę Kambodży. Gdy jedziemy przez Bangkok nasza pilotka ciekawie opowiada o mieście. Na stałe zamieszkuje tu około 15 milionów mieszkańców (dane w poszczególnych źródłach różnią się znacząco); do tego dochodzi wielka masa ludzi dojeżdżających tu do pracy. W założonym w XVIII wieku Bangkoku mieszka oficjalnie około 300 tysięcy etnicznych Chińczyków i około 40 tysięcy Hindusów, a także wielu przedstawicieli innych narodowości. Trzeba przyznać, że wszystkie żyją w zgodzie i harmonii.

Utrapieniem, ale też niejednokrotnie jedynym możliwym środkiem przemieszczania się, jest siedem milionów samochodów.

Po drodze zatrzymujemy się, jak to określa nasza pilotka, „na sikundę”. Jest ciepło i przyjemnie. Dojeżdżamy do przejścia granicznego z Kambodżą: Aranyaprathet (Tajlandia) / Poipet (Kambodża). Wyładujemy nasze walizki z autobusu. Ładują one następnie na drewnianych wózkach i są przewiezione do innego autobusu stojącego już po stronie kambodżańskiej. Całkiem sprawnie przechodzimy przez kontrolę paszportową (wizy wystawiają nam na granicy). O 12:20 ruszamy w dalszą drogę. Po około godzinie zatrzymujemy się na kolejny postój, tym razem przy sklepie z rzeźbami z miejscowego kamienia (pumeksu?). Wiele posągów, szczególnie przedstawiających Buddę, jest zrobionych bardzo profesjonalnie. Około 15:30 dojeżdżamy do hotelu *Lin Ratanak Angkor Hotel* w miejscowości Siem Reap. Czterogwiazdkowy hotel ma bardzo ładny, zewnętrzny basen.



Budda

Lokujemy się w pokojach, a później jedziemy na kolację w restauracji *Borey Sovann*. Tu próbujemy różnych khmerskich smakołyków, jak zupa rybna, ryba *amok* w paście curry podana w orzechach kokosowych czy *lok lak* czyli wołowina pokrojona w cienkie płatki i marynowana w sosie sojowo-rybnym. Do wołowiny bardzo dobry sos pierzowy. Na deser dostajemy bardzo smaczne ananasy i mango, a także aromatyczną kawę.

28.01.2016 (czwartek)

Pobudka jak zwykle o 6:00. Jemy smaczne śniadanie z regionalną zupką, a także z rogalikami (widać wpływy francuskich kolonizatorów ☺) z dżemem ananсовym i o 7:30 ruszamy autobusem na zwiedzanie płaskiej jak stół okolicy. Pilotka opowiada ciekawie o historii królestwa Angkor, którego stolica miała w XII i XIII wieku około



Widok z hotelu w Siem Reap o zachodzie słońca

milionu mieszkańców (Kraków, gdy był stolicą Polski z trudem dociągał do 50 tysięcy).

Wysiadamy przy moście prowadzącym przez szeroką fosę do południowej bramy ostatniej stolicy imperium khmerskiego *Angkor Thom*, zbudowanej w końcu XII wieku. Centrum miasta, otoczone fosą, było zbudowane na planie kwadratu i miało 9 km²

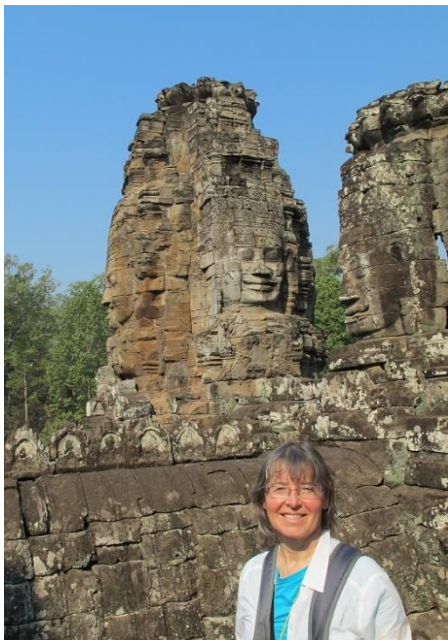


Południowa brama Angkor Thom

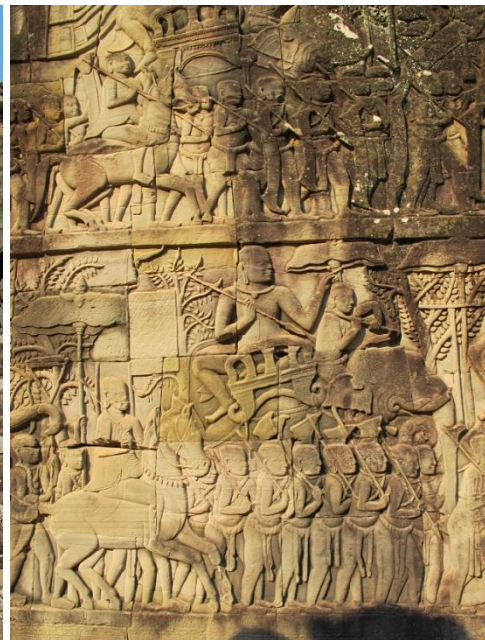
powierzchni. Przechodzimy przez kamienny most udekorowany postaciami 54 bogów i 54 demonów trzymających mitycznego węża, który teraz pełni rolę balustrady. Nawiązuje to do hinduistycznej legendy o ubijaniu przez nich oceanu mleka, co pozwoliło na uzyskanie nektaru nieśmiertelności. Efektowna bramę jest jedną z pięciu jakie miało dawne miasto. W samym centrum miasta stoją ruiny wielkiej niegdyś świątyni *Bayon*. Podjeżdżamy do niej miejscowymi busikami. Z laterytowych wież, których kiedyś było 54, spoglądają wielkie uśmiechnięte twarze. Główna wieża (*prasat*) miała 54 metry wysokości. Na ścianach świątyni imponujące reliefy ze scenami ilustrującymi historyczne wydarzenia i sceny z codziennego życia Khmerów. W sumie znalazło się na nich około 11 tysięcy postaci. Wszystko wskazuje na to, że cała świątynia była kiedyś pokryta złotem, a sceny na reliefach były kolorowane. Dosyć długo krążymy po tarasach i korytarzach świątyni, aż w końcu wychodzimy na jej drugą stronę.

Stąd, przez las, dochodzimy do efektownie

wyglądających ruin świątyni *Baphuon* zbudowanej w połowie XI wieku. Powstała jako świątynia hinduistyczna, poświęcona Sziwie, a pod koniec XV wieku przekształcono ją na świątynię buddyjską, podobnie jak to się miało z innymi świątyniami na tym terenie. Z tego okresu pochodzi wbudowany w mury kamienny posąg leżącego Buddy, który niegdyś miał 70 metrów długości. W latach 60-tych dwudziestego wieku francuscy archeolodzy rozpoczęli rekonstrukcję świątyni, rozbierając jej znaczną część zniszczoną przez wdzierającą się



Basia w świątyni Bayon



Reliefy w świątyni Bayon

przez wieki roślinność. Poszczególne kamienie starannie ponumerowano i oznaczono w dokumentacji. Niestety Czerwoni Khmerowie w czasie swego panowania tę dokumentację zniszczyli, a tysiące kamieni leżących wokół trzonu świątyni niektórzy nazywają największą łamigłówką świata. Część świątyni udało się na szczęście zrekonstruować.

Oprócz zabytków, zwracają uwagę rosnące tu imponujące drzewa, takie jak puchowiec pięcioprzecikowy czyli drzewo kapokowe (po angielsku nazywany popularnie *silk-cotton tree*). Są też dosyć natrętne małpy, na które trzeba uważać by nie porwały jakichś rzeczy albo co, gorsza, nie podrapały nieświadomych niebezpieczeństwa turystów (podobno mogą być chore na wściekliznę).



Świątynia Bayon

Idziemy na miejsce dawnego pałacu królewskiego. Pałac był prawdopodobnie zbudowany z drzewa tekowego i nic z niego nie przetrwało. Ale pozostały mury pałacowej świątyni *Phimeanakas* przypominającej niewielką piramidę. Według legendy świątynia była siedzibą bogini *Naga*, która w nocy zamieniała się w piękną kobietę. Król musiał zaznać z nią rozkoszy, a dopiero później udawał się do jednej ze swych żon. Gdyby do stosunku nie doszło, królestwo czekałoby nieszczęście.



Basia i Andrzej na tle świątyni Phimeanakas

kokosowego i idziemy do pobliskiej świątyni *Ta Prohm*. Powstała w XII wieku jako świątynia buddyzmu mahajana. Pełniła także rolę uniwersytetu. W przeciwieństwie do wcześniej oglądanych świątyń *Ta Prohm* pozostawiono w stanie, jakim ją odnaleziono, czyli nie usuwając porastającej



W świątyni Ta Prohm



Widok ze świątyni Baphuon na „puzzle”

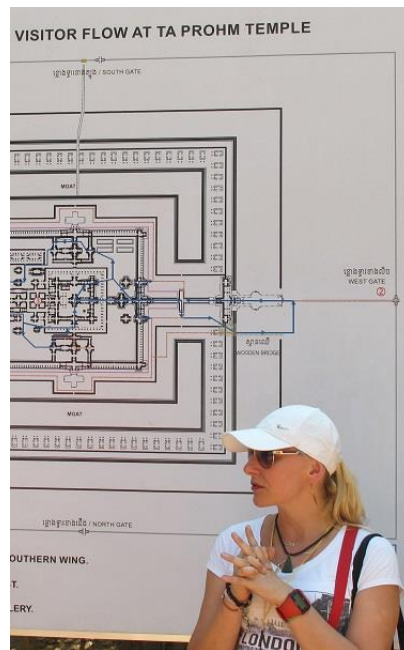
Wchodzimy na obszerny kamienny taras, zwany „Tarasem trędowatego króla”, z którego rozpościera się ładny widok na otaczającą miasto zielen, a także na kilka kamiennych wież. Kamienne obwarowania tarasu są pokryte efektownymi rzezbami *apsar* czyli boskich tancerek, a także wizerunkami *garud*, czyli wierzchowców boga Wisznu, będących pół ptakami a pół ludźmi.

Wychodzimy poza obręb dawnego miasta, pijemy sok ze świeżego orzecha

jej roślinności. Po drodze do świątyni mijamy siedzącą na podeście przy drodze orkiestrę złożoną z osób, które ucierpiały od wybuchów min. W Kambodży mnóstwo terenów jest jeszcze zaminowanych – szczególny problem stanowią plastikowe miny przeciwpiechotne, których nie można wykryć tradycyjnymi przyrządami. Muzycy grają kambodżańskie melodie i na życie zarabiają dostając pieniądze od licznych tu turystów.

Świątynia *Ta Prohm* i porastające ją drzewa są szalenie efektowne. Dość długo buszujemy wśród zwalów świątynnych kamieni i oplatających je korzeni i pni drzew.

Autobusem jedziemy do znajdującej się w obszernej wiacie restauracji „Angkor Reach Restaurant”. Jemy tu zupeł



Pilotka Dagmara Szczepaniuk

z kurczaka w orzechu kokosowym, rybę z warzywami, a także wieprzowinę, ryż, sajgonki i panierowane krewetki. Dosyć odrażająco wyglądają kawa i herbata podane w potwornie brudnych kubkach. W ogóle czystość nie jest mocną stroną Kambodży.

Po obiedzie jedziemy do najważniejszego celu całej naszej podróży – świątyni *Angkor Wat*. Sama nazwa nie brzmi imponująco, bo oznacza po prostu „świątynię miejską”. Świątynię zbudowano w XII



Świątynia Angkor Wat



Reliefy w świątyni Angkor Wat

wieku z laterytu ku czci hinduistycznego boga Wisznu. Później świątynię przekształcono na buddyjskie miejsce kultu, niszcząc lub przerabiając część rzeźb bądź po prostu замуrowując niektóre pomieszczenia. Proces powtórzono, ponownie zamieniając świątynię na hinduistyczną. Budowle są nieźle zachowane, chociaż w latach świetności zespół nie był tak szary i kamienny, a mienił się złotem i kolorami.

Idziemy kamiennym mostem nad stumetrowej szerokości fosą i przechodzimy przez imponujący zespół bramny. Dochodzimy do trójpoziomowego (nie licząc wież) korpusu świątyni. Poziom najniższy odpowiada piekłu, środkowy – ziemi, a najwyższy – niebu. Oglądamy imponujące kamienne reliefy, o długości w sumie 900 metrów, opasujące pierwszy poziom budowli. Widnieje na nich prawie 20 tysięcy postaci z indyjskich eposów „Ramajany” i „Mahabharaty”, a także sceny z życia dworu królewskiego i z ubijania *Morza Mleka* przez bogów i demonów.

Zaglądamy na liczne dziedzińce i krużganki, podziwiamy pięć imponujących wież, z których najwyższa ma 65 metrów nad poziom gruntu. Problemem okazuje się wejście na najwyższy poziom, do którego ustawiła się ogromna kolejka. Postanawiamy z Basią



Widok z najwyższego poziomu świątyni Angkor Wat

zaryzykować i stajemy na jej końcu. Mamy więcej szczęścia niż rozumu – udaje się nam dostać na górę bardzo stromymi schodami niedługo przed 17:00. Prawie biegiem obchodzimy najwyższy poziom, podziwiając piękne widoki na okolicę i nieliczne posągi we wnętrzach. W dużym tempie wracamy na miejsce zbiórki grupy przy moście, już za fosą. Zjawiamy się tam punktualnie, co do minuty, o 17:15. Mocno zmęczeni docieramy do hotelu.

29.01.2016 (piątek)

Rano, jak zwykle o 7:30, wyruszamy na północny wschód, do położonego w dżungli Koh Ker – dawnej stolicy państwa Khmerów z X wieku. Znajduje się tu około 180 świątyń, z których tylko kilka jest dostępnych dla zwiedzających z powodu zaminowania terenu.

Zatrzymujemy się najpierw przy zespole *Prasat Pram*, co oznacza „pięć wież”. Cztery z nich są zbudowane z bardzo precyzyjnie dopasowanych cegieł (nie widać między nimi zaprawy), a jedna z laterytu. W czasie dalszej podróży autobusem widzimy z okien wieżę *Prasat Neang Khmau*



Świątynia Prasat Pram

a następnie wielkie zbiorniki na wodę z X wieku, obecnie puste. Kolejny przystanek przy wieży *Prasat Linga*. W jej wnętrzu falliczny symbol Sziwy, a pod nim płaska misa symbolizująca pierwiastek żeński – boginię Parwati.



Lingam w świątyni Prasat Linga

Zatrzymujemy się koło świątyni *Prasat Thom*. Naszą uwagę zwraca częsty w Kambodży obrazek – stragan z plastikowymi butelkami, w których sprzedaje się benzynę. Pierwsze części świątyni, przez które przechodzimy, są mocno zrujnowane. Na jej tyle znajduje się najbardziej efektowny obiekt – schodkowa piramida o wysokości 36 metrów, czyli równa wysokości Kopca Piłsudskiego w Krakowie. Wchodzimy na wierzchołek piramidy skąd roztacza się szeroki widok na otaczające świątynię równiny. Za piramidą znajduje się okazały kopiec ziemny – podejrzewam, że jest to grobowiec króla (układem przypomina to dawne grobowce w Chinach).



Przydrożny stragan. Żółty płyn w plastikowych butelkach to benzyna



Piramida w świątyni Prasat Thom



Ruiny świątyni Beng Mealea

szkolnictwo podstawowe obejmujące sześć pierwszych klas jest w Kambodży bezpłatne i formalnie obowiązkowe, do szkoły uczęszcza tylko około 80% wszystkich dzieci z tych roczników. Problemem bywa dojazd, a także powszechna w kraju korupcja, objawiająca się tym, że dzieci muszą dawać nauczycielom pieniądze za wejście na każdą z lekcji. Rower kosztuje 42 dolary amerykańskie. Udaje się nam zebrać pieniądze na trzy. W Siem Reap zajeżdżamy przed biuro podróży, które pośredniczy w kupnie rowerów i wybiera odpowiednie dzieci. Są już tam rowery oraz obdarowani nimi dwaj chłopcy i dziewczynka. Parę pamiątkowych fotek (co zresztą wydaje mi się nieco żenujące) i jedziemy do hotelu. Tu mamy chwilę czasu na przebranie, ponieważ zaraz jedziemy na kolację i występy khmerskich tancerek i tancerzy.

W wielkiej sali restauracji „Amazon Angkor” przy długich stołach siedzi kilkaset osób. Restauracja jest samoobsługowa a potrawy dosyć przeciętne. Występy nie mają takiego rozmachu jak w Bangkoku, ale są całkiem niezłe, tak że cały wieczorny wyjazd uznajemy za udany. Po powrocie do hotelu wychodzimy jeszcze z Basią na spacer po okolicznych handlowych uliczkach.

Wracamy w kierunku parkingu. W przydrożnej restauracji jemy obiad i ruszamy dalej. Teren robi się lekko pofałdowany. Widać sporo upraw bananowców. Zatrzymujemy się przy porośniętej lasem świątyni *Beng Mealea* (Lotosowy Staw) zbudowanej w połowie XII wieku. Budowla jest całkiem rozległa, a jej stan z trudem pozwala wierzyć, że zniszczenie świątyni zawdzięczamy głównie rozsadzającym ją roślinom.

Okolo 15:30 ruszamy w podróż powrotną do Siem Reap. W autobusie zbiórka pieniędzy na rower dla biednego dziecka w wiejskiej szkole. Przy braku publicznej komunikacji, to jedyna możliwość nauki. Jakkolwiek



Wiejski obrazek



Khmerskie tancerki

30.01.2016 (sobota)

Po zwyczajowej porannej pobudce, śniadaniu i załadunku bagaży do autobusu, jedziemy nad jezioro Tonle Sap. To największe jezioro w Indochinach. Jego powierzchnia waha się od 2,5 tysiąca do 15 tysięcy kilometrów kwadratowych, zależnie od wielkości opadów. Żyje w nim podobno 1200 gatunków ryb. Po drodze zatrzymujemy się przy plantacji lotosów.

Po dotarciu do przystani na jeziorze wsiadamy do sporej motorowej łodzi. Obserwujemy z niej rybaków, a także całe pływające po jeziorze wioski, zamieszkałe głównie przez Wietnamczyków. Tu ludzie rodzą się, uczą się (na jeziorze są pływające szkoły), pracują i umierają. Zatrzymujemy się na kilkanaście minut przy pływającym sklepie i restauracji. Na czymś w rodzaju barki hodują tu także krokodyle.



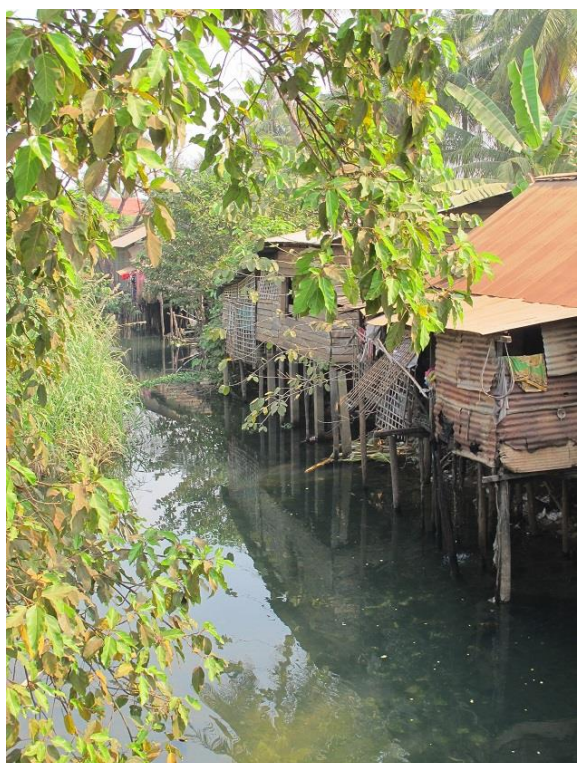
Plantacja lotosów



Pływająca wioska na jeziorze Tonle Sap

Po dobiegu do brzegu podjeżdżamy do niewielkiej wioski, przez którą przechodzimy starając się podglądać (dyskretnie) codzienne życie jej mieszkańców. Jest tu buddyjska świątynia, a także szkoła. Większość ludzi żyje bardzo biednie, na poziomie zupełnie w Polsce niewyobrażalnym.

Wracamy autobusem do hotelu po osoby, które nie zdecydowały się na pływanie po jeziorze. Następnie jedziemy na „Pola śmierci”. To smutna pamiątka po „Czerwonych Khmerach”, którzy głosząc komunistyczne hasła równości i sprawiedliwości wymordowali w latach 1975-1979 około dwóch milionów ludzi, czyli prawie 1/3 całej ludności ówczesnej Kambodży. Wymordowano praktycznie całą inteligencję – powodem do zabicia było nawet posiadanie okularów. Ludzi mordowano w okropny sposób – by



Domy na palach



Transport na jeziorze



Buddyjska kaplica na „Polach śmierci”

oszczędzić kul zabijano łopatami, siekierami, czy podrzynano gardła ostrymi palmowymi liśćmi. Do dziś wiele osób w Kambodży boi się posyłać dzieci do szkoły a nawet pójścia do okulisty. Na przedmieściach Siem Reap zatrzymujemy się przy buddyjskiej świątyni zbudowanej na miejscu kaźni. W kaplicy widać liczne czaski pomordowanych, a na planszach pokazano sporo dokumentalnych zdjęć z epoki. Czerwoni Khmerzy to drastyczny przykład tego jak należy się bać tych co obiecują ci powszechną szczęśliwość i budowę nowego, sprawiedliwego świata na gruzach obecnego, podobno tak niesprawiedliwego.

Kolejny punkt podróży to farma z jedwabnikami i manufaktura produkująca jedwab stworzona w ostatnich latach przez Francuzów, w ramach pomocy dla Kambodży. Oglądamy poszczególne fazy produkcji, a także zaglądamy do sklepu z bardzo ładnymi, ale kosztownymi wyrobami.

Zatrzymujemy się w przydrożnej restauracji, gdzie pod wielką wiatą jemy obiad. O 16:10 docieramy do hotelu w miejscowości Battambang, będącej dziedzictwem francuskiego kolonializmu.

Z hotelu jedziemy do dawnej jednotorowej linii kolejowej, której wyposażenie zniszczyli Czerwoni Khmerzy – zostały tylko, mocno nadwyżnione, tory. Korzystają z nich miejscowi oferując

turystom atrakcję – bambusową kolejkę, której pojedyncze wagoniki są napędzane silnikami z motorowerów. Wagoniki rozpędzają się do 50 kilometrów na godzinę. Mijanka polega na rozebraniu wagonika i odstawieniu jego części obok toru, tak by umożliwić przejazd wagonika jadącego z przeciwną. W sumie niezła zabawa, a przy tym mamy okazję zobaczyć ładny zachód słońca.

Już po zmierzchu wracamy do hotelu. Niestety do naszych pokoi nie dotarły jeszcze bagaże. Ogólnie w hotelu panuje solidny bałagan. W końcu bagaże udaje się odzyskać i możemy się, w wielkim pośpiechu, umyć i przebrać. Autobusem jedziemy na kolację do restauracji „Pipob Oyster Restaurant”. Przy stoliku siedzimy z Grażynką i Piotrem oraz z sympatyczną parą z Suwałk – chemikami po Uniwersytecie Gdańskim.



Kwiaty lotosu z pozawijanymi płatkami



Montowanie wagonika



Grażynka, Basia, Piotr i Andrzej na „bambusowej kolejce”

31.01.2016 (niedziela)

O 7:30, już kompletnie zapakowani, wyjeżdżamy autobusem z hotelu. Pierwszy punkt programu to dosyć współczesna buddyjska „Świątynia Białego Słonia”. Oglądamy cmentarz z charakterystycznymi stupami, kiczowatą grupę malowanych kolorowo rzeźb, w tym rzeźbę słonia, od którego pochodzi nazwa świątyni. Przyglądamy się także z oddali lekcji dla buddyjskich mnichów. Dziś jakieś ważne świątynne święto i główny mnich udziela, za drobną opłatą, błogosławieństw. Z tej ostatniej usługi korzysta kilka osób z naszej grupy. Później spacer po Battambang – przyglądamy się jego kolonialnej zabudowie, a także oryginalnemu bazarowi oraz wstępujemy do wielkiej handlowej hali, zbudowanej jeszcze przez Francuzów. Muszę przyznać, że tutejsze bazarowe klimaty z tłokiem i bałaganem kojarzą mi się miło z targowymi dniami w Radomiu mego dzieciństwa.



Bazar w Battambang

Ruszamy naszym autobusem w kierunku granicy z Tajlandią. Jedziemy przez niezbyt wysokie góry. Przy drodze widać wielkie płachty, na których suszy się maniok. Są tu

też pola z uprawami rambutanów i mango. Niedaleko miejscowości Pailin zatrzymujemy się na krótko przy niedużej świątyni z dużym posągim „Babci Yat”, która według legendy ofiarowała miejscowym złoża drogich kamieni w zamian za obietnicę powstrzymania się od zabijania zwierząt w džungli.

Koło południa przekraczamy przejście graniczne Phsar Prum / Pong Nam Ron z Tajlandią (Ban Pakkad). Jedziemy dalej przez góry, a potem czteropasmową drogą szybkiego ruchu wjeżdżamy w bardziej płaski teren. W końcu docieramy do położonego nad Zatoką Tajlandzką hotelu *Hinsuay Namsai Resort Hotel* w prowincji Rayong. Hotel jest strasznie zaniedbany, ale pięknie położony. Zbiegamy z Basią na plażę i długo pływamy w przyjemnie ciepłej wodzie.

Wieczorem kolacja na tarasie najwyższej kondygnacji hotelu. Samotny muzyk gra na klawiaturze i całkiem dobrze śpiewa amerykańskie, rzewne piosenki. Zaczynamy z Basią tańczyć; za nami idą inni.

1.02.2016 (poniedziałek)

Pobudka o 3:00. Jedziemy autobusem na lotnisko w Bangkoku, skąd prawie dwanaście godzin lecimy do Warszawy, na szczęście klasą „Premium”. Oglądam wzruszający i smutny film pt. „Papusza” z Jowitą Budnik w roli tytułowej. Urzekają przepiękne czarno-białe zdjęcia. Jako osoba chorobliwie sentymentalna nie mogę się powstrzymać od uronienia paru łez. Podziwiam też piękne widoki z samolotu, m.in. na Hindukusz, a później na Baku. Z lotniska Okęcie jedziemy lokalnym pociągiem do Dworca Centralnego, a stamtąd Pendolino do Krakowa.

Cztery szlachetne prawdy Buddy

Wszystko, co uwarunkowane, jest cierpieniem.

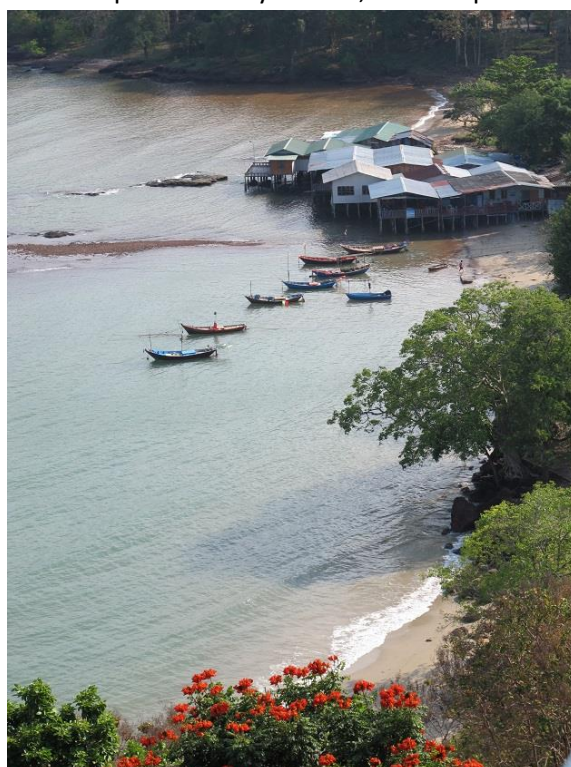
Cierpienie ma swoją przyczynę [*jest nim pragnienie*].

Istnieje koniec cierpienia [*gdy przestanie się pragnąć*].

Istnieje droga, która prowadzi do końca cierpienia [*trzeba pracować nad sobą by wyzbyć się pragnień*].



Babcia Yat



Widok z naszego hotelu